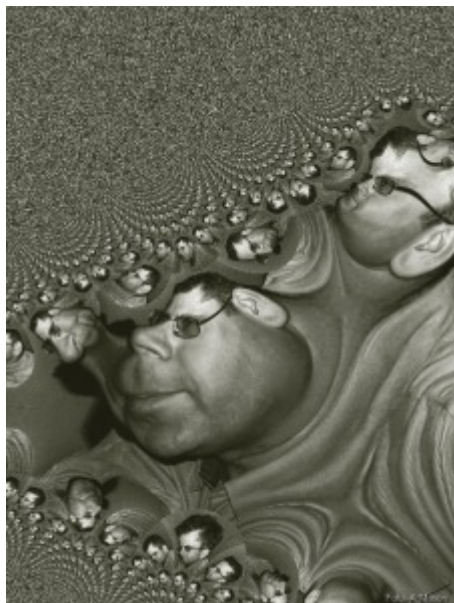




Adam Cebula "Lament Gałkiewicza"

nimfa bagienna



Co jakiś czas wybucha straszna afery z powodu tzw. Sztuki Wysokiej. Albo całkiem niskiej (jak HP). Przy czym chodzi o książkę. Nie o koncert produkujący drukarki komputerowe, ale o książeczkę o czarach i pewnym adepcie magii zwanym Harrym. Lecz to poniekąd było małym piwem, gdy chodzi o poziom absurdu. Można powiedzieć, że kiedy doszło do ataku na rysunek kociaka zwanego Hello Kitty, to jakby bruk sięgnął ideału. Coś grzmotnęło jak łysy warkoczykami o beton i rozległ się serdeczny rechot.

Co jakiś czas przeżywamy nalot tzw. środowisk na produkty kultury. Środowiska, akurat w Polsce, zazwyczaj są określane jako katolickie czy konserwatywne. Przy czym określeniami tymi nie należy się za bardzo sugerować. Ależ tak, określam się jako ateista czy agnostyk (diabli wiedzą, jak to zwać), ale do kultury chrześcijańskiej mam duży szacunek. W szczególności do kultury katolickiej, która moim zdaniem ma sporo tropów, dzięki którym uniknęliśmy jako naród wielu durnot. Oraz, niestety, cały wór głupot, które ciągną się być może od kontrreformacji, może są pogańskimi przylepkami, które nadają katolicyzmowi stęchłego zapaszku. Tym niemniej coś mi się widzi, że w kręgach protestanckich na ten przykład wykrzywiono i ograniczono miłość bliźniego, a nieufność do bogacenia się zamieniono na faktyczny wymóg bycia bogatym. Podstawa stosunków w społeczeństwie, w katolickiej odmianie chrześcijaństwa, jest ciągle chyba inna niż w protestanckiej.

Tak na marginesie zauważam, że przy całej kosmopolityczności, jaką wyrażam na przykład poparciem dla Unii Europejskiej, czy wynikającej choćby z korzystania z Internetu, mam - jak to się mówi - świadomość kulturowej odrębności, a także narodowych wartości. Jest pośród nich także i opozycja wobec ikon kultury Zachodu, (do którego przecież dążymy), takich właśnie jak niepohamowana konsumpcja i bogacenie się jako wartość sama w sobie. Jest także przychylność dla ubóstwa, w tym także tak zwanego bycia ubogim w duchu, aliści rozumianym jako klasyczny umiar w budowaniu obrazu świata. Chodzi o to, by wyjaśniać, a nie ściemniać. To taka trochę szlachecka mentalność, opieranie się na prostych zasadach, nieuznawanie pokrętnych tłumaczeń służących jedynie wytłumaczeniu tłumaczącego, która odrzuca nibyfilozoficzne rozwiązania w stylu „każdy ma rację”. To ubóstwo wyraża się w tym, że efektywne chwytły erystyczne czy pojęciowe łamańce są funta kłaków niewarte. Gadanie czy kombinowanie musi się skończyć jakimś zaleceniem do wykonania przez szlachcica na zagrodzie: siać, orać albo pracować, jeśli ociec każe. To wszakże - choć coś całkiem innego niż *dativus instrumentalis* czy *dativus relationis* - jest podejściem jak najbardziej funkcjonalnym i miłym dla tych co „do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni”. No i w żadnym

wypadku nie oznacza to głupoty. (Ten dativus pochodzi z gugla, podparty strzępem wiedzy z religii.) Wystarczy zapamiętać, że tu jest jakaś mina i dyskusje teologiczne, gdyby komuś było potrzebne.

Jakoś tak się pomieszało, że w pewnych środowiskach wypada być ubogim w duchu, cokolwiek to znaczy (i jeśli coś jeszcze znaczy, a nie jest przypadkową zbitką słów bezmyślnie powtarzaną). A owo ubóstwo wychodzi na głupotę. Naiwne pojmowanie świata jest miłe... nie wiem, czy duchownym. Niektórym - i duchownym, i zwykłym - wyznawcom zaliczającym siebie do nurtu tzw. prawdziwego. Prawdziwego katolicyzmu, prawdziwego patriotyzmu, czy wreszcie, by powtórzyć za Ziemkiewiczem, polactwa. Prawdziwego polactwa.

Tak więc, opierając się na bazie i pozostając na gruncie pryncypialnych wartości... Pamiętacie może jeszcze przemowy wodzów PZPR? Nie pamiętacie, bo minęło ćwierć wieku. Aliści jest to dokładnie ten sam deseń w te same czerwone ciapki, tyle że na gruncie prawdziwej wiary, pryncypialnie broniąc wartości, i tak dalej, i temu podobnie. I w tym właśnie stylu co jakiś czas odbywa się z gruchotem atak na coś zupełnie przypadkowego. Powiedzmy np. na kawałek papierka przywiązanego do nitki, na płamkę laserowego światła. Z tą różnicą, że kocury gonią za czymś takim z nudów, zaś jeśli chodzi o laser, proszę mi wierzyć, szybko się uczą, że się je robi w konia.

Pryncypialnie nastawione i opierające się na bazie środowiska - ani trochę. Przykładem może być uporczywe podpalanie tęczy. Tak, widziałem ową tęczę z daleka w trakcie mej bytności na Avangardzie 2014. Jakoś nie wzięło mnie ani na podpalanie, ani na obronę. Nawet nie chciało mi się zboczyć, by ją z bliska zobaczyć, bo chciało mi się siusiu. Niezależnie od siusiu, dlatego że tęcza jest wielką podpuchą, jest jak serek na haczyku pułapki na myszy. Tylko czeka, że ktoś się podjara... i wtedy trach!

- Dlaczego pan poseł jest przeciwko tęczy? - pyta pani redachtór. - Przecież tęcza to jest piękna, tęcza to symbol przymierza Boga z ludźmi. I tak dalej. A pan poseł zaczyna coś niewyraźnie i mętnie ściemniać. Przy czym nawet do głowy mu nie przyjdzie, że pan artycha właśnie po to tęczę ustanowił, żeby tak właśnie było. Aby po jednej stronie była śliczna tęcza, a po drugiej meczący się, stękający jej przeciwnik. Albowiem w przedstawieniu musi być jakiś czarny charakter, inaczej nie będzie dramatu, napięcia. No więc robimy, aby ów czarny charakter zgłosił się na ochotnika. Na chłopca do bicia.

Zapewne na tym polega splendor bycia artychą, widzi mi się, że jest to kasta ludzi, którzy wyglądają na wyćwiczonych w manipulowaniu publicznością. Kogo zechcą, publika kochać będzie, kogo wskażą, grzecznie znienawidzi i obrzuci zgniłymi pomidorami i jajkami. Dodajmy, że chodzi o pojmowanie splendoru w pewnych kręgach pozostających na bazie. Owe kręgi, mam wrażenie, niczego więcej w twórcach nie znajdują. Ani przesłania, ani systemu wartości lub choćby częściowego rozumienia świata, czy erudycji rozumianej jako wiedza o tym, co na jakiś temat mówiono i pisano.

Środowiska powstają, albowiem artyści - chcący czy nie, a coraz częściej przypadkiem - uderzają w fundamenty. Zwykle wiary, czasami polskości czy czegoś równie mętnie zdefiniowanego. No i nie ma rady, fundamentów trzeba bronić poprzez atak. Gdy rzecz jest poskładana z premedytacją, wychodzi rodzaj zdarzenia artystycznego z aktywnym udziałem publiczności. W szlachetnym zamyśle chodzi o to, by wywołać zaplanowaną reakcję, prowadzącą do jakiejś sprzeczności, konfliktu, by publiczność zastanowiła się nad sobą.

Powiedzmy sobie szczerze: nudne są te widowiska, bo do bólu przewidywalne. Jak człek ma trochę oleju we łbie, to od razu sobie zada pytanie, czemuż to tęczy (raczej już Tęczy) nie wykonano wreszcie z niepalnego materiału. Bo by się nie dało jej podpalić. No i nie byłoby zabawy, prawda? Tęcza jest palna, by się dawało za pomocą zapalek bronić tych fundamentów. No więc ogląda się owe spory jak rodzaj wrestlingu; tanie udawane igrzyska dla hołoty.

Niestety, jak się już kibice zbiorą, i bidna kultura rozrywkowa, najbardziej neutralna wedle wszelkich jej możliwości, i światopoglądowo, i politycznie obrywać zaczyna. Ależ tak, oberwało się właśnie nieszczęsnemu HP, Hello Kitty, fantasy, grom rpg, (przy czym przyznaję się bez bicia, że nie bardzo wiem, czym, owe gry są), badaczom UFO i wielu innym biedakom, którym do głowy by nie przyszło, że są przeciw lub za.

Poniekąd jestem w stanie zrozumieć i zaakceptować awantury wokół wytworów tak zwanej kultury wysokiej. Tu sprawy mają się bowiem dość prosto: tak zwani artyści stają na głowie, by po pysku zarobić. To raz. Dwa, coś mi się widzi, że zasadniczą rolę pełni tu lament Gałkiewicza. Rzecz ma się tak, że aby zaliczyć się do tak zwanej inteligencji, jakiejś grupy społecznej (umownie nazwijmy ją maturzystami) posiadającej zdolność do uczestnictwa w kulturze i sztuce; bycie człowiekiem, który jest słuchany przez innych, szanowany, którego opinie są traktowane poważnie, wymaga niestety, by Słowacki zachwycał.

Tak to wygląda. WYPADA, będąc w towarzystwie, zarecytować jakąś zwrotkę, rzucić od niechcienia, że „Chińczycy trzymają się mocno” i wiedzieć, że to ani Mickiewicz ani Słowacki. Aliści też:

„Chodzi mi o to, aby język giętki

Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:

A czasem był jak piorun jasny, prędko,

A czasem smutny jako pieśń stepowa,

A czasem jako skarga nimfy miętki,

A czasem piękny jak aniołów mowa...

Aby przeleciał wszystka ducha skrzydłem.

Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.”

Nie, nie chcę udawać, że tak, znam Słowackiego, i zachwycam się. „Celną strofą” byłem rażony przez kilkanaście lat mej podstawowo-średniej edukacji. Wywiesił to mój tatuś polonista na ścianie szkoły w Przedborowie, wisiało w liceum w Ząbkowicach. Rzecz ilustruje kolejny stopień buntu „prawdziwych coś tam” przeciw artychom: otóż oni, ci prawdziwi, mają przekonanie, że język artychów JEST jak piorun jasny, prędko, czasem jako pieśń stepowa i... No właśnie, to panika, której ulegali komuniści. Jaka? Że język trafi jak piorun jasny w rabarbar. Nigdy nie widziałem, jak to wygląda, gdy ten piorun w rabarbar trafia, albo jak to jest, jak trafił, ale widok musi być zaiste okropny.

Być może mój wywód jest zawiłym, ale gdy dochodzi do cytowania poglądu górnego i chmurnego Słowackiego o języku, to na myśl mi przychodzi coś od tego drugiego boga (bywało, że panowie poeci nienawidzili się serdecznie, czemu dali poetycki wyraz, patrzaj „Beniowski”):

„Twardowski siadł w końcu stoła.

Podparł się w boki jak basza;

Hulaj dusza! hulaj! – woła,

Śmiesz, tumani, przestrasza.”

Otóż ów artycha jest jak pan Twardowski: śmiesz, tumani, przestrasza. Pani, co wsadziła krucyfiks do moczu, snuje opowieści o swych sądowych niedolach (smutne jak pieśń stepowa), opowieść pewnego pana o odpustowej tęczy brzmi pięknie jak aniołów mowa, a wszystko to czarnoksiężskie sztuki Twardowskiego, któremu wystarczy zadzwonić kiesą pomału, a z patrona robi się kondel. Niestety, takiemu chamowi jak ja – szczerze mówiąc dumnemu z tego, że zdarzyło mu się trzymać pług w ręce – te przejścia od pioruna jasnego do skargi nimfy kojarzą się z robieniem sobie dudków z ludzi, jako się czarnoksiężnikowi zamarzy.

Ścieżka skojarzeń ma dość podły, jarmarczny początek. Był kiedyś teatr sensacji Kobra w tiwi peerelowskiej, i tamże w czołówce ta kobra robiła przeróżne, pełne wyrazu miny. Zdziwienie, zasmucenie, puszczała porozumiewawcze oko, a wszystko to było o tym, jak przewrotni bohaterowie kryminałów manipulują ludźmi. Od tejsze Kobry malutki kroczek do krotochwil wypisywanych przez największych wieszczów.

Gałkiewicz podejrzewa, że kluczem do osiągnięcia owej mocy bełtania w łepetynach jest taka przemiana jego głowiny, by Słowacki wreszcie cieszył. Nie cieszy. Gałkiewicz bardzo się stara... Nic. Gałkiewicz chciałby zdać maturę, wejść na salon, a tymczasem staje się -drugo, -trzecio, n-rocznym. Słowacki wyznacza jego miejsce na drabinie społecznej, stale nad nim jest jakiś profesor Bładaczka, którego jakimś cudem nie sposób oszukać. Jakoś tak wychodzi, że gdy zapyta, pada jak skarga nimfy miękko, że nie zachwyca. Że ni cholery nie da się tego zachwycania ugryźć. Ale to pół bidy: jest jeszcze czarnoksiężnik, który przemieni nas w kondla, wytoczy z naszego łba gdańskiej wódki pół beczki: ośmiesz. Na patrona trybunału nie ma się co pchać, bo klątwa Słowackiego zrzuci nas na poziom chłopiąt przed maturą. Upupionych na maksa.

Gałkiewicz się w końcu buntuje, atakuje na ośle. Ma niejasną nadzieję, że jak wypowie się jak profesor Bładaczka, autorytarnie i pryncypialnie, że Słowacki wielkim poetą nie był, to klątwa straci moc. Czy pamiętamy wypowiedzi pewnej pani posłanki o Czesławie Miłoszu? No właśnie. To były takie próby.

Literatura rozrywkowa stara się ze wszystkich sił być neutralną światopoglądowo, politycznie, nawet społecznie. Chce być jedynie prózną krotochwilą, nie walić ani w określone poglądy, warstwy, bogatych czy biednych, a już z całą pewnością ma w serdecznym gdzieś wszelkie polityczne awantury przetaczające się przez kraj niczym najazdy Hunów. Albowiem śmiech – czy tylko dobry humor – nie zmieszczą się w jednym korcu z serdeczną nienawiścią do kogokolwiek. Satyra, gdy się tylko angażuje, staje się tępą wojenną propagandą, a – powiedzmy sobie szczerze – pismak chciałby także trafić do każdego czytelnika, tego po prawej, po lewej i gdzieś tam całkiem z boku, bo mu płacą od sprzedanego egzemplarza.

Niestety, przekonałem się, że neutralność polityczna zdycha w środowisku, w którym ludźmi targają kompleksy Gałkiewiczów. Niestety, jak cię obtłukują brukówką czy tylko kijem, ale tęgim, zostałeś już opowiedziany wbrew swej woli po którejś ze stron. Doświadczyłem tego niespodziewanie na konwencie w Warszawie, gdy z czeluści opustoszałego gmazyska Politechniki wyłoniła się jakaś starsza zapewne fanka gatunku scifi, skoro wzięła udział w tym zbiegowisku, z pewnością płacąc wcale nie tak mało za wstęp. Zdemaskowała ona we mnie współpiścę demoralizatorskiej „Upalnej zimy” i w gorących słowach postanowiła dać odpór owemu gorszycielstwu młodzieży.

Cóż, najwyraźniej mam talenty negocjatorskie, udało mi się bowiem spacyfikować incydent sztuką wymowy. Warto czytać Platona, warto umieć zręcznie przedstawić, czym istotnie była tragedia Boltzmanusa i jakie głębokie odniesienia ma ona do Ludwika Boltzmana... Mniejsza. Wyszedłem bez guzów, ze wszystkimi guzikami, ustrzegłem swe uszy przed oberwaniem.

Niestety, gdym chyłkiem przemykał mrocznymi ulicami stolicy, niepewnie się rozglądając, dotarło do

mnie, com wyżej sformułował: choćbyś na głowie stawał, gdy cię obsadzą w roli wroga, wrogiem jesteś. Nic nie pomoże. Masz do wyboru albo uciekać, albo walczyć. A najczęściej musisz i jedno, i drugie. Prze... pieprzony los kataryniarza, nie ma prawicy, lewicy; piszesz, dotyczy ciebie podział na Gałkiewiczów i resztę. Tak, zawsze uważałem, że RAZ doskonale uosabia kompleksy targające gorszą literaturą, lamentując ciągle w temacie salonu. Niemalże obsadzałem go w roli pierwszego Gałkiewicza Rzeczypospolitej, próbującego co chwilę udowodnić, że ten czy inny Słowacki cieszyć nie może. Kochany Rafale, wszyscy razem bulgoczemy w jednym kociołku z Michnikiem i całą załogą wrażej Gazety Wyborczej, liczy się tylko umiejętność użycia przerzutni, przewrotni, o przenośni nawet nie wspominając. Wystarczy, że język nieco bardziej giętki, że myśli głowa - Gałkiewicz czuje się tumaniony i przestraszony, odda sprawę do sądu za ośmieszanie.

Cóż, powiedzmy sobie, nic tu specjalnie odkrywczego, aliści w ferworze awantur przewalających się przez kraj trudno dostrzec, kto i dlaczego wali nas laską po łepetynie. Trzeba dobrze uważać, by widzieć, kto za czym i kim stoi. Mamy problem. Nie wiem, czy narastający, czy grożący zagładą, czy jedynie kilkoma guzami, ale ten problem wygląda tak, że objawia się grupa zdesperowanych Gałkiewiczów, którzy ból głowy wywołany Słowackim chcą wyleczyć jak zwykle: pałac książki. Sztuka wszelka staje się wrogiem, tu nie chodzi o nawet o humor, który - jak w „Imieniu róży” - musiał zostać poddany szczególnemu nadzorowi, tu chodzi o wszelkie stosowanie zwykłych środków wyrazu, które w pale nie do końca doksztalcoonej zmieścić się nie chcą. Albowiem tumania i przestraszają, co najgorsze, obśmiewają; czytasz, z patrona zrobi się kondel. Wystarczy, by nas nienawidzić.

Nic odkrywczego... w takiej Kambodży dostawało się po łbie motyczką za samo noszenie okularów. Nie, nie straszę apokalipsą. Czerwoni Khmerowie nawet wedle najbardziej niechętnych im szacunków Wietnamu wyrznęli do 3 mln ludzi. To zaledwie 20% ludności kraju, wynik raczej europejski, na poziomie strat wojennych. Jak do tej pory trzon środowisk reprezentujących wszelkich prawdziwych głównie posługuje się laskami, i jak na razie nie bije, tylko nimi wygraża.

Chciałem tylko zwrócić uwagę, że lament Gałkiewicza przyniósł społeczny oddźwięk i rezultatem jest obsadzenie nas w roli wrogię elementu, począwszy od bezczelnych gorszycieli do wykształciuchów. Głupia sprawa, pusta rozrywka została zgodnie z leninowskim widzeniem świata określona politycznie. Obawiam się, że niebawem trzeba będzie stworzyć partię, która będzie miała tylko jeden punkt programu: „Odp... się od kultury, nieuki”.